

WIKTOR
MROK

**MAŁA
BALETNICA**



initium
wydawnictwo

KRAKÓW 2018

Copyright © 2018 Wiktor Mrok

All rights reserved

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ, ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Projekt okładki: PAWEŁ PANCZAKIEWICZ

„Panczakiewicz Art Design”

Fotografie wykorzystane na okładce:

© boonchuay1970/Fotolia.com

© Delphotostock/Fotolia.com

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-70-5



initium
wydawnictwo

Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa:

WIKTOR
MROK



**MAŁA
BALETNICA**

PROLOG

KIJÓW 23 LIPCA 1982 R., GODZ. 12:09

Urodziła się tuż po południu...

Nikt nie oczekiwał z niecierpliwością jej przyjścia na świat.

Nikt się z tego nie cieszył.

Nikt się nie zachwycił, gdy po raz pierwszy otworzyła oczy.

Nikt nie zwrócił uwagi, gdy po raz pierwszy się uśmiechnęła.

Nikt jej nie chciał.

Anastazja – takie imię otrzymała.

Ona dała początek tej historii.

CZEŚĆ
PIERWSZA

Anastazja wbiegła do domu jak huragan. Już od progu ogłosiła radosną nowinę:

– Mamo, mamo! Wygrałam! Jestem najlepszą baletnicą w szkole! Popatrz! – Rozprostowała trzymany w dłoni dyplom. – Dlaczego nie przysłaś na konkurs?

Tęga kobieta w podniszczonym szlafroku, stojąca przy kuchennym stole, nieszczególnie się przejęła radością córki. Zignorowała pytanie i wzruszyła ramionami.

– Tobie tylko bzdury w głowie. Chleba to z tego nie będzie. Dziecięce fanaberie.

– Pani Aleksandrowna powiedziała, że mam talent. Za tydzień będzie następny konkurs. Przyjadą dziewczynki z Sewastopola! Ale ja będę najlepsza! Przyjdź popatrzeć, proszę... – przekonywała Anastazja.

– Daj mi spokój! Lepiej idź posprzątać w pokoju.

Anastazja, zrezygnowana, opuściła rękę z dyplomem i wyszła z kuchni. Krótkim korytarzem, zagrconym i od lat domagającym się odmalowania, dotarła do jedyne go pokoju w mieszkaniu. Usiadła na swoim wąskim, zapadniętym łóżku i rozplakała się.

Ojciec wrócił późnym wieczorem. Leżąc pod kołdrą, słyszała, jak obija się o ściany. Znowu był pijany. Krzyczał coś bełkotliwie, wygrażał komuś. Mama położyła się do łóżka. Potem przyszedł on. Anastazja czuła odór potu i alkoholu. A potem te odgłosy – jęki

matki, chrapliwe stękanie ojca. Wtuliła głowę w poduszkę, żeby tego nie słyszeć.

KIJÓW 19 WRZEŚNIA 1991 ROKU

Larisa Aleksandrowna podeszła do Anastazji w szatni, tuż po skończonych zajęciach. Dziewczynki już się przebrały i jedna po drugiej wychodziły na szkolny korytarz.

– Nastiu, zostań proszę na chwilę.

Anastazja uśmiechnęła się do nauczycielki. Bardzo ją lubiła; była taka ładna i zawsze miła. Nigdy nie krzyczała. I tak się cieszyła z sukcesów małej baletnicy. Tak, nazywała Nastię małą baletnicą.

– Dobrze, proszę pani.

Larisa Aleksandrowna pogłaskała jasne włosy dziewczynki.

– Chciałabym, żebyś jeszcze raz przećwiczyła piruety. Niedługo kolejny konkurs. Myślę, że znów będziesz najlepsza. Chodźmy na salę. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – Mam coś dla ciebie...

Nastia popatrzyła na nią, wyraźnie zaintrygowana.

– A co takiego?

– Później ci powiem. Najpierw ćwiczenia. – Nauczycielka delikatnie ujęła dłoń podopiecznej i zaprowadziła ją na salę.

Przez następne pół godziny Nastia intensywnie ćwiczyła. Mimo że bolały ją już nogi, nie protestowa-

ła, nie skarżyła się. Chciała, by pani Aleksandrowna znów ją pochwaliła, żeby widziała, jak się stara. Wkładała całe swoje serce i wszystkie umiejętności, by nie utracić miana najlepszej małej baletnicy.

– Pięknie, wspaniale... – Kobieta przykucnęła na wprost uczennicy i przesunęła dłońmi po jej łydkach. – Bołą?

– Nie, wcale nie – skłamała dziewczynka, a na jej policzkach pojawił się rumieniec zadowolenia.

KIJÓW 19 WRZEŚNIA 1991 ROKU

Jeszcze nigdy nie czuła się tak podekscytowana, tak rozradowana. I tak onieśmielona.

Aleksandrowna, trzymając Nastię za rękę, szerokim korytarzem poprowadziła ją do pokoju. Dziewczynce zaparło dech w piersi. Był taki ogromny! Jakie piękne meble, jak czysto! Takie duże obrazy na ścianach! I jaki puszysty dywan, taki kolorowy, że aż kręciło się w głowie! Tak mieszkała jej ukochana pani. To tu Nastia miała dostać obiecane, tajemnicze „coś”. Nauczycielka bez słowa zaprowadziła ją do kolejnego pokoju, który okazał się salą gimnastyczną! Była dużo mniejsza niż ta w szkole, ale miała drabinki i maty, i lustra na ścianach, i poręcz do ćwiczeń baletowych. Oniemiała Nastia patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi oczami. W końcu przeniosła wzrok na panią Aleksandrownę.

– Jak tu pięknie... – wyszeptała, przejęta.

– Podoba ci się? – Nauczycielka patrzyła na nią z uśmiechem. – Chciałabyś tu poćwiczyć?

– Och, tak... bardzo...

– To poczekaj chwilę... – Podeszła do niewielkiej szafy stojącej obok drzwi i wyjęła z niej podłużne białe pudełko. Trzymając je przed sobą oburącz, wróciła do dziewczynki.

– Otwórz.

Nastia ostrożnie uniosła pokrywkę i aż podskoczyła z zaskoczenia.

– Jaki piękny! – Delikatnie, samymi opuszkami palców przesunęła po mieniącym się perłowo błękitem materiale baletowego kostiumu. Potem podniosła roziskrzona oczy na nauczycielkę. – Czy... będę mogła go przymierzyć?

– Oczywiście. Jest dla ciebie. To prezent dla mojej małej baletnicy.

Nastia aż pisała z radości. Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Nigdy od nikogo nie dostała czegoś równie wspaniałego.

– Naprawdę? – Ciągle nie wierzyła swojemu szczęściu.

– Naprawdę. – Nauczycielka, wciąż się uśmiechając, wyjęła kostium z pudełka i podała go dziewczynce. – Teraz go załóżysz, a potem trochę poćwiczysz, zgoda?

Nastia z zapałem pokiwała głową.

– Popatrz, Nastiu – wskazała dłonią białe rzeźbione drzwi – tam jest łazienka. Idź się przebierz. Albo... – Przez moment się zastanawiała. – Albo pójdę z tobą i ci pomogę, dobrze?

Łazienka też była wspianała – śnieżnobiała duża wanna, kafelki na podłodze i na ścianach, aż pod sam sufit... i toaletka! Wielkie owalne lustro, a po obu jego stronach półeczki z kolorowymi buteleczkami i słoiczkami.

– Może chciałabyś się wykąpać przed ćwiczeniami? – spytała pani Aleksandrowna. – Gorąca woda doskonale wpływa na mięśnie.

– Och... Chciałabym bardzo... – nieśmiało odpowiedziała Nastia.

Kobieta odkręciła kran i woda trysnęła silnym strumieniem. Następnie przysiadła na krawędzi wanny i pieśczośliwym gestem pogłaskała Nastię po włosach. Odgarnęła je i czubkami palców powoli przesuwała po płatkach uszu, a następnie po szyi dziewczynki. Jej dłonie były takie delikatne i ciepłe, nie to, co szorstkie ręce matki.

– Rozbierz się... – szepnęła, wpatrując się w oczy swojej uczennicy.

KIJÓW, 24 WRZEŚNIA 1991 ROKU

Nastia stała na szczycie podium i wpatrywała się w publiczność. Nie cieszyła się swoim zwycięstwem.

Wszyscy klaskali. Dorośli i dzieci, nauczyciele, zaproszeni goście z innych szkół... Próżno jednak wypatrywała rodziców. Znowu nie przyszli na występ. A tak się starała, tak długo ćwiczyła, tak bardzo chciała im pokazać, jak pięknie tańczy, jak precyzyjne piruety kręci. Nie przyszli. Oni nie... Ale pani Aleksandrowna była. Patrzyła na nią. Tylko na nią. Nastia nagle poczuła, że całe jej ciało przenika fala słodkiego ciepła. Tak jak wtedy, w tym cudownym mieszkaniu, na puszystym kolorowym dywanie, a potem na... Zarumieniła się aż po linię włosów i spuściła wzrok, zawstydzona wspomnieniem, które niespodziewanie pojawiło się w jej głowie.

Owacje się skończyły i Nastia na drżących nogach, w towarzystwie dwóch pozostałych dziewczynek, Iriny i Ałgai, które zajęły odpowiednio drugie i trzecie miejsce, poszła do szatni. Koleżanki nie pogratulowały jej zwycięstwa. Patrzyły na laureatkę niechętnie, wręcz wrogo.

– Skąd ona ma taki piękny kostium? – spytała Ałgaia teatralnym szeptem.

– Pewno ukradła – odparła Irina na tyle głośno, żeby Nastia usłyszała. – Jej rodzice to jakieś biedaki – prychnęła pogardliwie. – Baletnica... Oni jej nie chcą. Popatrz, nawet nie przyszli na pokaz. Moja mama zawsze jest.

Ałgaia złośliwie zachichotała, popatrując na Nastię.

– W dodatku przychodzi do szkoły w dziurawych butach. Biedus, flejtuch!

Nastia poczuła pod powiekami piekące łzy. Zatrzymała się dwa kroki za progiem szatni. Chciała odwlec moment, w którym zamieni ten piękny, mieniący się kostium na swoją pocerowaną spódniczkę i spraną bluzkę; moment, w którym cudowne nowe baletki zostaną zastąpione ciasnymi butami o zdartych noskach. Spojrzała na wykrzywioną w szyderczym uśmiechu twarz Algai. A potem z całej siły uderzyła w nią pięścią. I drugi raz. Kiedy dziewczynka upadła na podłogę, Nastia skoczyła na nią okrakiem. Biła i biła, bez opamiętania. I krzyczała. Krzyczały też Algaia i Irina.

W końcu poczuła, że czyjeś silne ręce ciągną ją w górę. Stała na nogach. Przez łzy zobaczyła zdumioną twarz pani Aleksandrownej.

KIJÓW 25 WRZEŚNIA 1991 ROKU

Biegła co sił w nogach. Ulica, chodnik, kolejna ulica, ludzie, którzy odwracali się za nią, zdziwieni. Nie czuła bólu w bosych stopach otartych do krwi. Byle dalej od tego wstrętnego domu, od ojca i jego skórzanego pasa, którego uderzenia nadal piekły. Przecież to nie jej wina, że Algaia się z niej naśmiewała. Tata nie odezwał się ani słowem, gdy wrócił z rozmowy z dyrektorem szkoły. Tylko bił – po nogach, plecach, gdzie popadnie. Matka jej nie obroniła. Krzyczała, wyzywała...

Wciąż biegła. Z wysiłku już ciemniało jej przed oczami. Traciła oddech. W pewnej chwili uderzyła w coś – albo w kogoś. Próbowwała się wyrwać, kopała, by uwolnić się z uchwytu silnych ramion.

A potem...

– Jak masz na imię? – spytał duży pan w mundurze.

Nie odpowiedziała. Siedziała na drewnianej twardej ławce w jakimś szaroburym pokoju. Zaciskała usta aż do bólu, żeby się nie rozpłakać. Nigdy więcej nie będzie płakać, przyrzekła sobie. Nigdy.

– Jak się nazywasz? – spytał mężczyzna łagodniejszym tonem. Pochylił się nad Nastią i delikatnym gestem ujął ją za podbródek. Uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

– Mała baletnica – wyszeptwała przez ściśnięte gardło.

CZEŚĆ
DRUGA

– Czy życzy pan sobie coś jeszcze? – Ciemnoskóra kelnerka posłała zawodowy uśmiech mężczyźnie siedzącemu w wiklinowym foteliku.

– Jeszcze jedną herbatę proszę. Tylko żeby tym razem była gorąca. – Na moment odwrócił wzrok w stronę plaży, po której wolnym krokiem spacerowała młoda dziewczyna. Wskazał na nią niedbałym gestem. – A dla mojej kuzynki zimna cola z lodem. Bardzo zimna. W największej szklance, jaką macie.

– Oczywiście, proszę pana. – W czarnych oczach kobiety mignęło lekkie rozbawienie. W tym hotelu widywała dziesiątki podobnych mężczyzn, czterdziestolatków i starszych, którym niezmiennie towarzyszyły młode długonogie dziewczęta. I niezmiennie były to kuzynki albo siostrzenice. – Obiad zjedzą państwo na tarasie czy w restauracji?

Mężczyzna spojrział na tarczę swojego złotego rolexa.

– Tutaj – odparł krótko. W tym samym momencie odezwał się przenikliwy sygnał telefonu satelitarnego leżącego na blacie. Klient posłał kelnerce wymowne spojrzenie i podniósł masywny aparat. Poczekał, aż zostanie sam, i odebrał.

– Jesteśmy już na miejscu – usłyszał zniekształcony męski głos.

– To dobrze. Wszystko załatwione po naszej myśli?

– Jak najbardziej. Kasa się zgadza.

- To najważniejsze. Kiedy dotrzecie do hotelu?
- Potrzebujemy nie więcej niż pół godziny.
- Akurat zdążycie na obiad.
- Wspaniale! Samolotowego zarcia nie powinno się podawać nawet świniom.
- Czekam.



Pojawili się w czterdzieści minut później – szczupły blondyn w szarym garniturze i rozpiętej pod szyją koszuli oraz korpulentny Japończyk o płaskiej twarzy pozbawionej wyrazu. Bez pytania zasiedli przy stoliku.

– Jak nasza gwiazdeczka, Rahman? – zapytał blondyn po rosyjsku, poprawiając zsuwające się z nosa okulary w złotej oprawce. Zerknął w stronę plaży.

– Musiałeś przywieźć tu tego błazna? – Rahman zignorował pytanie. Wskazał wzrokiem Japończyka; jego krawat w pstrokate wzory wyjątkowo go irytował, tak samo jak źle dopasowany czarny garnitur z przykrótkimi rękawami.

– Chciał porozmawiać z tobą osobiście.

– Trzeba było mu to wybić ze łba.

– Nieźle płaci – zaznaczył blondyn. – I ma nowe zamówienia. Ma też ochotę zerznąć naszą gwiazdeczkę.

– Niech sobie poszuka deski z dziurą po sęku. – Rahman prychnął pogardliwie. – Nic z tego. Powiedz mu to.

– Ale przecież Tagawa...

Rahman pochylił się w stronę blondyna, posyłając mu ostre spojrzenie spod ściągniętych irytacją brwi.

– Robimy interesy czy prowadzimy burdel, Borys?

Mężczyzna nazwany Borysem skrzywił się lekko, ale po krótkim wahaniu kiwnął głową.

– OK. – Odwrócił się w stronę Japończyka i nie-naganną angielszczyzną oznajmił: – Będziemy tylko omawiać interesy. Niestety pana życzenie nie może zostać spełnione. Przykro mi. Ale jest tu mnóstwo pięknych i naprawdę bardzo młodych dziewcząt, które z chęcią uprzyjemnią pański pobyt w tym rajskim zakładku. Oczywiście na nasz koszt.

Japończyk wpatrzył się w Rahmana, ewidentnie ignorując Borysa.

– Lahman san, ja mocno placić pieniądze do was. Mówił, że chce blondynka. Ja nie lubić czalna – odezwał się kalekim angielskim. – Ona mieć... ją... – Ruchem głowy wskazał dziewczynę, która siedziała na brzegu z prawie pustą szklanką w dłoni.

– No i widzisz – Borys znów przeszedł na rosyjski.

Rahman już chciał skomentować wynurzenia Japończyka, gdy pojawiła się kelnerka. Z wymuszonym uśmiechem, zgrabnym gestem podała oprawne w brązową skórę menu. Rahman zawołał w kierunku plaży:

– Nastia, chodź do nas! Obiad!

Dziewczyna odwróciła głowę i odgarnęła z twarzy długie jasne włosy, po czym wstała nieśpiesznie.

– Jest niesamowita – powiedział Borys, podziwiając smukłe nogi i kształtne biodra dziewczyny. – Piętnastolatka, a ciało dorosłej kobiety. Piękne!

Japończyk wydał z siebie bolesne westchnienie.

SESZELE 20 CZERWCA 1997 ROKU, GODZ. 18:50

Nastia obeszła wszystkie miejscowe sklepy z tandetą dla turystów, zjadła niesmaczną, gumowatą pizzę i znużona usiadła na ławce przy niewielkim skwerze porośniętym wysokimi palmami. Popijając ciepłą colę prosto z butelki, zaczęła się przypatrywać ludziom, leniwie i bez celu krążącym po głównej ulicy. Nieopodal zauważyła grupę młodych dziewcząt z ożywieniem wskazujących sobie samotnie spacerujących mężczyzn. Jedna z nich szybko podeszła do chuderławego rudzielca ubranego w białe spodnie i hawajską pstrokatą koszulę. Zastąpiła mu drogę i zagadnęła z uśmiechem. Mężczyzna odpedził ją niecierpliwym ruchem, warcząc coś pod pigmatym nosem, i ruszył dalej. Poirytowana, pokazała mu środkowy palec, tupnęła nogą i wróciła do koleżanek. Była najmłodsza z nich. Miała nie więcej niż trzynaście lat. Ubrana w poszarpane dżinsy i różowy przyciasny T-shirt, spod którego przebijały się niewielkie, szpiczaste piersi, znów zaczęła się rozglądać.

Nastia wstała z ławki, przeszła parę kroków i kiwnęła ręką w stronę dziewczynki. Ta, po chwili wahania, podeszła do niej; niewysoka, drobna, uśmiechnęła

się niepewnie, pokazując dołeczki w jeszcze dziecięcej twarzy o ustach umalowanych różową szminką.

Nastia wyciągnęła z kieszeni dwudziestodolarowy banknot i pomachała nim. Dziewczynka popatrzyła na banknot, a potem, marszcząc brwi, w oczy Nastii. Nadal się uśmiechała. Nastia ujęła jej małą dłoń i włożyła w nią pieniądze. A potem delikatnie, samymi czubkami palców, dotknęła jej wydatnych ust. W oczach dziewczynki pojawiło się zrozumienie. Kiwnęła głową, kołysząc warkoczykami z wplecionymi kolorowymi koralikami, pociągnęła Nastię w stronę trzypiętrowego budynku otynkowanego na jaskrawożółty kolor. Nad wejściem wisiał szyld z pomalowanej na niebiesko blachy z napisem „Hotel Paradise”.

Nastia weszła po trzech wyszczerbionych stopniach do wąskiego holu. Na bujanym fotelu za kontuarem, ze słomkowym kapeluszem nasuniętym na oczy, drzemał czarnoskóry mężczyzna. Właściwie nie zwróciła na niego uwagi. Wpatrując się w nogi i pośladki dziewczynki, ciasno opięte szortami, czuła coraz silniejsze słodkie ciepło w podbrzuszu i delikatne mrowienie w piersiach.

Drewnianymi, skrzypiącymi schodami wspięły się na piętro, a potem weszły do malutkiego pokoiku na końcu korytarza. Stały tu łóżko i nocna szafka z lampą; przez różowy abażur przeświecała słaba żarówka. W pokoju czuć było zapach tanich perfum i środka do dezyn-

fekcji, jednak Nastii to nie przeszkadzało. Dziewczynka zamknęła drzwi i podeszła do niej. Przez chwilę wpatrywała się swoimi wielkimi czarnymi oczami w jej oczy, po czym, leciutko wspinając się na palce, musnęła ustami jej wargi. Cofnęła się o krok i patrząc jeszcze bardziej zalotnie, powiedziała dźwięcznym, dziewczęcym głosem, wskazując na siebie:

– Rosie.

– Anastazja... Nastia... – Wykonała ten sam gest.

Dziewczynka wskazała na łóżko, a potem weszła na nie i usiadła po turecku. Anastazja, znów ją naśladując, usiadła na wprost niej w takiej samej pozie. Rosie posłała jej kolejną słodką minkę i spojrzała znacząco w dół. A potem jednym zdecydowanym ruchem ściągnęła przez głowę koszulkę. Anastazja poczuła jak przez jej ciało przelewa się fala gorąca. Nie odrywając wzroku od małych jędrnych piersi, sięgnęła ku nim. Opuszkami palców dotknęła ciemnobrązowych brodawek dziewczynki; poczuła ich ciepło i delikatną miękkość. Zapragnęła natychmiast przytulić się do nich, dotknąć ustami... I wtedy usłyszała natarczywy, skrzypiący dźwięk. Z niechęcią odwróciła wzrok w stronę, z której dochodził. W otwartych na oścież drzwiach stał wysoki mężczyzna. Zaskoczona, przez chwilę wpatrywała się w niego, a potem przeniosła wzrok na Rosie. Jej oczy już nie były zalotne. Wyrażały znudzenie i całkowitą obojętność.

Rozsiedli się w wygodnych fotelach ekskluzywnej klimatyzowanej hotelowej restauracji. Rahman zamówił brandy, a Borys zadowolił się lekkim drinkiem z limonką i mielonym cukrem.

– Gdzie nasz samuraj? – spytał Rahman kpiąco, gdy kelner się oddalił.

– Załatwiłem mu miejscową rozrywkę. Blond kurewka z Francji. Na gościnnych występach. Niezła. Ma z dziewiętnaście lat. – Borys zerknął na zegarek. – Mamy chwilę, żeby spokojnie porozmawiać. – Popatrzył na Rahmana wymownie. – Jutro głosowanie.

– Pierdolę to. – Rahman wzruszył ramionami i leniwym gestem upił nieco brandy.

– Mądrała i Buc. My będziemy następni, jeśli sprawa nie przejdzie. – Borys sięgnął po swojego drinka, czekając z napięciem na reakcję rozmówcy.

– Tak myślisz? – spytał Rahman z powątpiewaniem. – Przez rok wykręciliśmy na czysto półtora miliona dolarów z naszego przedsięwzięcia, a to był dopiero początek. Sam o tym wiesz. Myślisz, że pójdą na to, żeby zabijać kurę, która znosi złote jaja?

– Niektórym z generałów te jaja mocno śmierzdzą. – Borys zaśmiał się z niezamierzonej gry słów, ale zaraz spoważniał. – Wiesz, co powiedział Kornik, prawda? Że psujemy im potencjalne interesy. Wizerunkowo.

– Kornika też pierdołę. – Rahman pochylił się nad stolikiem. – Wizerunkowo. – Parsknął z pogardą. – Stary partyjny ramol nie odróżniłby własnej dupy od głowy, gdyby ktoś mu tego nie pokazał. Wiesz co? W razie czego mamy kasę i miejsce, gdzie możemy przesiadzieć jakiś czas. A nawet długi czas. Nie podobają się to, co robimy? Wolna droga. – Opadł na oparcie fotela.

– Dobra. Ty decydujesz. W każdym razie ja jestem z tobą.

– OK. – Rahman zerknął w stronę drzwi restauracji. – Pan Cudny Krawat zmierza ku nam. Ten to ma wycucie czasu.

Japończyk przysiadł się do nich bez słowa. Na jego plackowatej twarzy malowało się zadowolenie.

– Więc jakie ma pan dla nas propozycje? – spytał bezceremonialnie Rahman, przechodząc na angielski.

Japończyk kilkakrotnie kiwnął głową i serdelkowatymi palcami czule pogładził krawat.

– My już nie blać papieru obłazki. Co innego trzeba. Dużo pieniądze. Baldzo można blać... To jest... – wydukał.

Rahman przerwał mu niecierpliwym machnięciem ręki.

– Z całym szacunkiem, ale nie rozumiem, co pan mówi. – Odwrócił się w stronę Borysa. – Pogadaj z tą małpą w jej narzeczu, bo będziemy się tu męczyć do dnia Sądu Ostatecznego.

Borys przytaknął i zwrócił się do Tagawy po japońsku. Rahman cierpliwie czekał, aż ich wymiana zdań się zakończy, intensywnie zajmując się swoim trunkiem. Nie mógł pojąć tego, że facet, który chce prowadzić interesy, nie potrafi się wysłowić w podstawowym biznesowym języku, jakim jest angielski. Sam znał cztery języki – biegle. Po dziesięciu minutach szczekliwa narada znalazła swój finał i Borys z tajemniczym uśmiechem popatrzył na Rahmana.

– Jest nieźle – oznajmił, przechodząc na rosyjski. – On nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

– W której dziedzinie dostał Nobla? – zakpił Rahman.

– Przestań. Oni już nie chcą czasopism. Chcą filmy na DVD. I coś jeszcze. Dla mnie to bomba, naprawdę. Jego firma coraz mocniej wchodzi w internet; gry i zakłady hazardowe.

– DVD to droga sprawa. A internet? Co on bredzi! Mówilem, żeby...

– Rahman, nie masz racji. – Głos Borysa tym razem był twardy i zdecydowany. – Internet to przyszłość. Już i tak jesteśmy jak pierdolone leśne dziadki z epoki kolorowych obrazków na papierze. VHS to dla nas szczyt techniki. Japońce wiedzą, gdzie schowano konfitury. Popatrz, jak wyjebali Amerykanów i całą Europę z rynku sprzętu elektronicznego. Technologicznie są teraz nie do pobicia. Posłuchaj, on nam oferuje informatyków, dostęp do infrastruktury internetowej, serwery i ludzi, którzy wiedzą, jak tworzyć

strony internetowe, jak przerabiać hurtowo filmy ze zwykłego wideo na pliki cyfrowe. Dotyczy to też zdjęć. Nieźle rozbujali interes. Możemy być pierwsi na rynku z naszym towarem. A pierwszy zawsze jest najlepszy.

– A czego chcą w zamian za te cyfrowe frykasy? – Rahman nie ukrywał podejrzliwości.

– Tego co zwykle. Blondyneczek. Drobnych, delikatnych, w szkolnych wdziankach lub bez wdziank, z kokardkami we włosach. Zresztą nie muszą być blondyneczki, byle spełniały pozostałe wymogi.

Rahman przez bardzo długą chwilę wpatrywał się w swoją pustą szklanekę. W końcu pstryknięciem przywołał kelnerkę.

– Zamawiam najdroższy szampan – powiedział.

– Dom Perignon White Gold czy Krug Private Cuvée?

– A który jest droższy?

– Dom Perignon.

– Dobrze. I proszę go dopisać do mojego rachunku.

– Oczywiście, proszę pana. Czy życzy pan sobie też truskawki?

– Jak najbardziej. – Przeniósł zadowolone spojrzenie na Borysa. – Powiedz panu Tagawie, że wchodziemy w ten interes.

Zanim jednak zrealizowano zamówienie, wydarzyło się coś, co chwilowo zburzyło dobry nastrój Rahmana. U wejścia do restauracji pojawiło się dwóch policjantów i recepcjonista. Ten ostatni, z mocno za-

kłopotaną miną, podszedł do stolika w asyście jednego z mundurowych. Drugi został w drzwiach. Recepcjonista skłonił głowę i drżącym głosem oznajmił:

– Policja zatrzymała pana kuzynkę, *monsieur*.

Wycofał się szybko, a jego miejsce zajął policjant, w wymiętym mundurze i niedokładnie ogolony.

– Pan Rahman Saroyan?

– Tak, o co chodzi? – spytał Rahman, wstając z fotela.

– Czy *mademoiselle*... – na chwilę umilkł, jakby chciał sobie coś przypomnieć – ...Anastasio jest pod pana prawną opieką?

– Tak, o co chodzi?

– Ona popełniła przestępstwo. Bardzo poważne. – Funkcjonariusz nie krył satysfakcji.

– *Vraiment? Elle a pissé sur tes yeux ou a volé une machine à raser?*¹ – spytał zjadliwie Rahman w knajpce francuszczyźnie i twarz policjanta na moment stężała. – Dobrze, trzeba to załatwić. – Popatrzył na Borysa. – Nie wiem, o co chodzi, ale pewnie ten bambus szuka pretekstu, żeby wyłudzić bakszysz.

– Może będzie bezpieczniej, jeśli pójdę z tobą? – zasugerował Borys.

– Dam sobie radę – zbył go Rahman. – Wypijcie za moje zdrowie – dokończył wesołym tonem i oddalił się w asyście policjanta i drepczącego za nimi recepcjonisty.

¹ Franc.: „Naprawdę? Nasikała ci do oczu czy ukradła maszynkę do golenia?”.

Kiedy po niespełna godzinie Rahman ponownie pojawił się w drzwiach restauracji, na spotkanie wybiegł mu szef sali.

– Czy wszystko w porządku, *monsieur*? – spytał, kłaniając się nisko.

– Jak najbardziej – odparł z uśmiechem Rahman i lekko klepnął mężczyznę w ramię. Potem spojrział na stolik, przy którym siedzieli Borys i Japończyk. – Nie podano szampana?

– Pana przyjaciele prosili, by poczekać na pański powrót.

– Właśnie wróciłem.

– Już podajemy...

Usiadł przy stoliku, powitany zaniepokojonymi spojrzeniami Borysa i Tagawy.

– Gdzie Nastia? – spytał Borys.

– Wszystko w porządku. Nasza gwiazdeczka trochę narozrabiała. – Rahman nagle się roześmiał. – I przy okazji pokazał nam swój kolejny ukryty talent.

– To znaczy?

– Dała się naciąć na hawański przekręt.

– Kurwa! Mów wreszcie do rzeczy! – zdenerwował się Borys. – Jaki hawański przekręt? Nastia jest w swoim pokoju?

– Jest w swoim pokoju – cierpliwie powtórzył Rahman. – Nasza mała baletnica poszła w miasto i przygruchała sobie małodatę. Dwanaście lat. A to była podpucha. W Hawanie grasują po mieście całe bandy ta-

kich dziewczątek polujących na samotnych mężczyzn. Zagajają, wdzięczą mordki, a potem zaciągają frajera do jakiegoś hoteliku. Frajer ma nadzieję, że dmuchnie lolitkę, a gdy już zdejmie gacie, w progu pojawia się pan żandarm. I teraz on zagaja: A czy pan szanowny wie, że ona jest nieletnia? Nie? No cóż, za to grozi dziesięć lat więzienia. Chyba że zapłaci pan grzywnę. I frajer, który tak ochoczo wyskoczył ze spodni, teraz jeszcze szybciej musi wyskoczyć z kasy. Stacjonując tam przez dwa lata, napatrzyłem się na te manewry aż do zrzygania. Widać, że rozprzestrzenił się już po szerokim świecie, skoro dotarł nawet tutaj.

– Pięknie... – Borys z dezaprobatą pokręcił głową.

– Pewnie, że pięknie. – Rahman popatrzył na niego pobłaźliwie. – Więcej takich Nastii i nie będziemy musieli się martwić o kolejne aktoreczki. Ona wie, jak to robić. Żadna jej się nie oprze.

Przyniesiono szampana. Rahman potoczył spojrzeniem po Borysie i Japończyku, a potem wprawnym ruchem odkorkował butelkę. Nalał musujący złoty płyn do smukłych kieliszków, po czym każdy uniósł swój. Jednak jeszcze nie pili – przeczuwali, że będzie toast. I był. Rahman wzniósł kieliszek nieco wyżej i wyraźnie akcentując słowa, powiedział po rosyjsku:

– Niedawno usłyszałem, że Japończycy potrafią wydymać konkurencję z rynku. To teraz kolej na nas, Rosjan. My wydymamy Japończyków.

– Co byś powiedział Lahman san? – Japończyk z zaciekawieniem zwrócił się do Borysa.

– Powiedział, że zrobimy świetny interes.

Wszyscy trzej z zadowoleniem wychylili kieliszki do dna.

ANKARA 27 CZERWCA 1997 ROKU, GODZ. 19:00

Rahman spoglądał na zatłoczoną ulicę z okna hotelowego pokoju, powolnymi ruchami kręcąc szklanceczką whisky, w której dzwoniły kostki lodu. Wyczekawszy odpowiednio długi moment, odwrócił się w stronę niespodziewanego gościa. Nigdy nie lubił tego faceta; jego szpanerskich, wyuczonych manier, przenikliwego spojrzenia szaroniebieskich oczu i tego, że był o dwa stopnie wyżej w organizacyjnej hierarchii. Rahman wiedział, że w obecnej sytuacji nie ma już szans na awans – pozostanie majorem na wieki wieków. Mimo wszystko zmusił się do uśmiechu.

– Znowu złe wieści, Rudolfie? – zapytał.

– Niestety, dobre. Ale tylko dla ciebie. – Głos Rudolfa był zimny i bezosobowy.

– Nigdy mnie nie popierałeś – wypomniał mu Rahman.

– Z przyjemnością bym cię zastrzelił.

– Tak jak zastrzeliłeś Mądralę i Buca? Rozwaliłeś pomysłodawców mojego... naszego biznesu, który przynosi kasę całej organizacji.

– Był rozkaz, to go wykonałem. – Rudolf uśmiechnął się lodowato. – Zresztą z dużą przyjemnością.

– Czemu więc i mnie teraz nie odstrzelisz? Co wypycha tę twoją pięknie skrojoną marynarkę? Kiść bananów?

– Zarząd zmienił zdanie w twojej kwestii. W ostatniej chwili – oznajmił sucho Rudolf.

– No właśnie! Zmienił zdanie. Jakoś dziwnie byłem pewny, że tak się stanie. – Rahman pokręcił z dezaprobatą głową i wycelował palcem w rozmówcę. – Wiesz, co nas różni? Nie wiek, nie pochodzenie ani wykształcenie. Nie! Ty jesteś bezmyślną maszynką do wykonywania rozkazów, a ja? Ja wciąż czuję się młodo i staram się wejść w nowe czasy, myśleć nowocześnie. Potrafisz to pojąć? Och, ja wiem, że większość zarządu myśli tak jak ty, ale powoli dociera już do nich, że nie ma co się patyczkować. Sam wiesz, że w naszym zawodzie moralność i etyka to obce sformułowania. Kto jeszcze był przeciw poza tobą? – Machnął ręką. – Dobra! Sam zgadnę. Kornik? Na pewno. Słoń? On też. Kocur? Oczywiście! Kto jeszcze?

Rudolf słuchał tej wyliczanki z całkowitą obojętnością.

– Za dużo mówisz. Masz zgodę na działanie.

– Wielkie dzięki – parsknął Rahman protekcyjnie.

Rudolf przez nieznośnie długą chwilę wpatrywał się w niego. W końcu z nietajoną dezaprobatą spytał:

– Lubisz uprawiać seks z małymi dziewczynkami?

– Lubisz uprawiać seks z małymi dziewczynkami? – przedrzeźnił go Rahman. – A ty co, skończyłeś Harvard? Zapytaj, jak przystało na nas obu: Rahman, ty jebany z boku, lubisz posuwać małolaty? Kurwa... Obaj, jako gówniarze, okradaliśmy stragany w Sewastopolu. Ech, te twoje wyuczone, pozerskie maniery.

– Więc lubisz? – Rudolf zignorował jego tyradę.

– Oszalałeś?! To tylko biznes. Pojmij to wreszcie. Ludzie dostają ode mnie to, czego potrzebują. Czy muszę lubić słodycze, żeby mieć fabrykę lizaków?

Rahman obserwował gościa spod zmrużonych powiek. Czekał z niecierpliwością aż pójdzie sobie w diabły wraz ze swoimi morałami i niechęcią.

– Rozumiem. Przekazałem ci to, co miałem do przekazania... – Rudolf zawahał się na moment. – Ale pamiętaj, że masz we mnie wroga. – Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

KIJÓW 7 LIPCA 1997 ROKU, GODZ. 10:00

– Nie mogłem się was doczekać. – Korpulentny mężczyzna o czarnych, kędzierzawych włosach starał się przekrzywić ryk kolejnego startującego samolotu. Z szerokim uśmiechem przywitał Rahmana i Borysa silnym uściskiem dłoni. Do Nastii, trzymającej na wpeł opróżnioną butelkę coli, tylko mrugnął wesoło. – Wsiadajcie i jedziemy. – Otworzył drzwi nowiutkiego

czerwonego dżipa, obszedł samochód żwawym krokiem i usadowił się za kierownicą.

– Jak wygląda sytuacja, Aleks? – spytał Rahman, gdy już zajął miejsce na przednim fotelu. Borys i Nastia rozsiedli się z wyraźnym zadowoleniem na tylnej kanapie. Łączyła ich zdecydowana awersja do samolotów, w których pięknie wyglądające fotele były tylko pozornie wygodne.

– Jak wygląda sytuacja? – Aleks roześmiał się rubasznie i przekręcił kluczyk w stacyjce. Z piskiem opon opuścili parking lotniska. – Rahman! Wy się tam brechtaliście w ciepłej wodzie... – Zerknął we wsteczne lusterko. – Nastia, wyglądasz pięknie. Wspaniała opaleniźna. – Przeniósł spojrzenie na Rahmana i dodał ciszej: – A my tu tyramy jak woły. Słuchaj, to przerosło nasze oczekiwania. Od czterech dni przeżywamy prawdziwe oblężenie. Zatrudniłem dodatkowo trzech fotopstryków. Jeden prawie mi padł z przecapowania. Stiepan zorganizował drugą lokalizację, w Charkowie, bo w tej kijowskiej już się nie mieścimy. Dogaduje jeszcze wynajęcie dawnego studia od jakiegoś koleśia w Symferopolu. To na razie powinno wystarczyć. Po pierwszym ogłoszeniu w gazecie i jednej, jedynej zasranej reklamie w radiu kolejka chętnych „tatusiów i mamusiów” z pociechami zawinęła się na sąsiednią ulicę. Casting! Ja pierdołę! Magiczne słowo! – mówił coraz bardziej podekscytowanym głosem. – Jedna ma-

muśka tak się rozwścieczyła na wieść, że jej córusia nie przeszła selekcji, że Stiepanowi mało oczu nie wydrapała. Na nic się zdały tłumaczenia. Kurwa! Obie były brzydkie jak psie kupy. Czy te idiotki nie mają luster?!

Rahman pokiwał głową z uśmiechem zrozumienia.

– Zatem wyrabiamy plan pięcioletni w miesiąc – skwitował, zadowolony. Obrócił się w stronę Nastii, która z każdym kolejnym słowem wypowiedzianym przez Aleksa miała coraz smutniejszą minę. – Nie martw się, zawsze będziesz naszą gwiazdą. Już moja w tym głowa, żebyś miała całe mnóstwo nowych partnerek do... tańca.

Dziewczyna w odpowiedzi posłała mu uśmiech Mona Lisy.

– To ile się nazbierało tych nowych partnerek? – Borys bez pytania wyjął butelkę z dłoni Nastii, pociągnął długi łyk i skrzywił się. – Jak możesz to pić, dziecinko? Ciepłe...

Aleks zerknął w lustro.

– Na razie mamy wyselekcjonowanych trochę ponad dwieście dziewczynek. Tak jak ustaliliśmy, w przedziale wiekowym pięć–szesnaście. – Lekko klepnął dłońmi w kierownicę. – Wszystkie ładne lub bardzo ładne; długie włosy, długie nogi, duże oczy... blondyneczki, czarnowłose, lisiczki... pełna paleta barw i kształtów. – Zachichotał. – Naprawdę jest w czym wybierać. I nie musimy już wydawać kasy na

kolejne ogłoszenia. Wieść się rozeszła. Która mama nie chciałaby, żeby jej córka robiła karierę w modelingu? To jest silniejsze od zdrowego rozsądku.

– Ile materiału zdjęciowego mamy? – spytał rzeczowo Borys.

Aleks potrząsnął głową.

– Mnie nie pytaj. Zaraz będziemy na miejscu i Stiepan wszystko wam powie, on jest od tego. Zatrudnił dwóch speców od grafiki komputerowej czy czegoś w tym stylu. Obrabiają i selekcionują fotki na bieżąco. Nawet wymyślili logotypy i nazwy dla wszystkich projektów. Mamy wspaniałe stroje dla dzieciaków, żeby było w co ubierać i z czego rozbierać. Trzech krawców zapierdalało po nocach przez tydzień. I te... dekoracje... jak z bajek! To też wygłówkował Stiepan. Powiedział, że to psychologiczne podejście. Jest dziewczyna od robienia fryzur i druga od makijażu. Wszyscy wiedzą, że mają trzymać mordy na kłódki. Rahman, normalnie padniesz z wrażenia, jak zobaczysz te fotki i filmy. Klasa! Kurwa! Hollywood klęka. – Z rozradowanym uśmiechem dodał gazu.

Przez kolejną godzinę przedzierali się przez zatłoczone centrum miasta. Aleks prowadził z wprawą i bardzo ryzykownie, nie raz przeskakując na czerwonych światłach skrzyżowania i rozganiając klaksonem pieszych na pasach. Rahman i Borys nie próbowali hamować brawury kierowcy. Dobrze znali jego umiejętności. Nastia, która uwielbiała szybką jazdę, wpa-

trywała się zafascynowana w przednią szybę, mocno trzymając się uchwytu nad drzwiami. Na wylotówce Aleks jeszcze mocniej docisnął, zwiększając prędkość do ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Daj dwieście! – zawołała Nastia, przekrzykując huk powietrza.

– Następnym razem, maleńka. – Aleks posłał jej uśmiech w lusterku wstecznym. Lekko przyhamował, w kontrolowanym poślizgu odbił w lewo tuż przed maską pędzącej ciężarówki po czym, ścigany wściekłym klaksonem kierowcy, wzniosł z wąskiej szutrowej drogi gęstą zasłonę kurzu i strzelających spod kół kamieni. Minutę później wjechali w otwartą dwuskrzydłową bramę.

– No i jesteśmy – oznajmił, zatrzymując samochód na brukowanym granitową kostką podjeździe dużego piętrowego domu.

– Kiedyś nas pozabijasz. – Borys po przyjacielsku klepnął Aleksa w ramię. Ten tylko wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

Jeszcze zanim wysiedli z samochodu, w drzwiach domu pojawił się niewysoki, tęgi mężczyzna o falujących włosach w ciemnym odcieniu blondu, w rozpiętej koszuli i dżinsowych spodniach. Na widok przybyłych szeroko rozłożył ramiona.

– No wreszcie! – wykrzyknął, podchodząc do auta szybkim krokiem. Wylewne powitanie „na niedźwie-dzia” nie ominęło nawet Nastii. – Chodźcie, chodź-

cie. – Mężczyzna wskazał szeroko otwarte drzwi willi.

– Masz coś do jedzenia, Stiepan? – spytał Borys, głaszcząc się wymownie po brzuchu. – Jestem głodny jak wilk. To zasrane żarcie w samolotach, rzygać się chce na sam widok. – Zrobił skwaszoną minę.

– Wiem, wiem – Stiepan pulchną dłonią klepnął po przyjacielsku ramię Borysa – niedługo każdy z nas będzie miał swój samolot. I zatrudnisz sobie najlepszych francuskich kucharzy na pokładzie.

KIJÓW 7 LIPCA 1997 ROKU, GODZ. 15:00

Nastia pierwsza wstała od stołu. Uśmiechnęła się do patrzących na nią mężczyzn i dzierżąc w dłoni szklankę z colą, poszła na taras. Stiepan odwrócił się za nią i westchnął głęboko:

– Nie mogę się napatrzeć. – Zerknął na Rahmana. – Jej widok działa na mnie jak płachta na byka. Szczególnie gdy biega na bosaka. Ma cudowne stóпки...

– Przestań. – Rahman pogroził mu palcem, ale bez gniewu, raczej z rozbawieniem.

– Co ja poradzę, że ze mnie stary zbok. – Roześmiał się głośno gospodarz. – No ale pamiętam, co powiedziałaś, i tego się trzymam. Żadnego Hollywoodu, gdzie rżnie się każdą kandydatkę na królową balu, niezależnie czy ma pięć lat czy sto pięćdziesiąt pięć. – Nalał każdemu po kieliszku gruzińskiego ko-

niaku. – Popróbujcie, rewelacyjny! Dżygit w ostatniej chwili sprezentował mi całą skrzynkę. Dwadzieścia pięć butelek! Francuskie przy tym napitku smakują jak końskie szczyny.

– A co z nim? – zainteresował się Rahman, upijając mały łyk zachwalanego trunku.

– Pierdzi pod celą. – Stiepan wykrzywił się w grymasie. – Jest już wyrok. Pięć lat. Ja i Aleks zakręciliśmy się jednak, żeby go wyciągnąć z pudła. Trochę to będzie kosztować, ale jest nam potrzebny przy ochronie całego przedsięwzięcia. Za tydzień, góra dwa, do nas dołączy. Na razie jest spokój, ale miejscowe łobuzy szybko zwietrzą sprawę, a wtedy nasze organizacyjne kontakty mogą nie pomóc. Nie mamy tu już takiej siły. Kaukaskie łachmyty też nieźle się rozpanoszyły. Przejęli prawie cały rekieting w dawnej strefie naszych wpływów i szykują się na więcej. Będą próbowali dobrać się i do nas.

– Zanim zwietrzą, nas już tu nie będzie. – Rahman od niechcienia wzruszył ramionami. – Tak jak ustaliliśmy, trzy, góra cztery miesiące i rozplywamy się we mgle. Teraz, tak jak mówiłeś, będziemy tyrać jak woły, a potem wrzucamy na luz. – Uśmiechnął się i lekko puknął palcami w stół. – Aleks mówił o logotypach i nazwach naszych projektów. Na jakim etapie jesteśmy? Powiedz mi coś więcej.

– Ha! Wszystko jest już w sieci. Internetowe witryny prawie gotowe. A to ponad dwie setki adresów...

domen. Ale teraz wyszło, że dobijemy do tysiąca. Wszystkie z rozszerzeniem „com”, bo te podobno lepiej się promują czy coś takiego. No, w każdym razie łatwiej je trafić przez te... wyszukiwarki czy inne takie. Tak jak chciałeś, wygrzebałem cwaniaka od tych rzeczy. Informatyk. Uwielbia lolitki. Tyra za darmo, jebany internetowy fanatyk. Serwery, linki, witryny, pozycjonowanie ma w małym palcu. Jest geniuszem. Jak mi tłumaczył te wszystkie zawilości, to nie nadązałem, a ostatnim idiotą też nie jestem. Rozpracował twój pomysł w tydzień.

– To nie mój pomysł – Rahman się roześmiał, a Borys mu zawtórował.

– Nie? – Stiepan spojrział na obu mężczyzn z zaskoczoną miną.

Rahman posłał porozumiewawcze spojrzenie Borysowi i wznosił kieliszek.

– Wypijmy za naszą flotę. Odpłacimy złotkom za Cuszimę² – powiedział wesoło.

– Jeśli tak chcesz. – Stiepan nie zrozumiał żartu, ale też wznosił kieliszek. – No to za Cuszimę!

Wypili do dna.

– Jest jeszcze jedna rzecz – odezwał się Aleks, wpatrując z uwagą w oczy Rahmana. – Wydatki nieco nam wzrosły. – Zerknął na Stiepana. – A to właśnie

² Bitwa pod Cuszimą – stracie zbrojne, które miało miejsce w dniach 25–28 maja 1905 r. pomiędzy flotą rosyjską a japońską podczas wojny rosyjsko-japońskiej (1904–1905), stoczone w Cieśninie Cuszimskiej w pobliżu wyspy Cuszima, zakończone miażdżącym zwycięstwem Japończyków (za: www.wikipedia.pl).

za sprawą naszego internetowego guru. Weszliśmy w sprzęt cyfrowy po całości. Aparaty, kamery, komputery, wszystko z górnej półki. Facet uznał, że jeśli mamy działać na najwyższych obrotach, nie możemy oszczędzać. W te graty poszło prawie trzydzieści tysięcy baksów. Wybacz, Rahman, że podjąłem tę decyzję sam, ale jak mi pokazał jakość zdjęć i filmów z... cyfry, to szczęka mi opadła. A najważniejsze, że to wszystko od razu przewalasz na komputer, migiem. Potem obróbka i do sieci. Jest do tego pełne oprogramowanie, to akurat mamy za darmo, pirackie wersje. – Uśmiechnął się przewrotnie. – Żadnego pieprzenia w klisze, wywoływania, skanowania, zero dodatkowej roboty.

– Czyli w sumie zaoszczędzimy na kosztach tradycyjnej obróbki materiałów. Samych zdjęć będą przecież setki tysięcy – stwierdził Rahman. – Aleks, to była świetna decyzja. Koszty zwrócą się nam po miesiącu. – Płasnął dłonią w kolano. – Chciałbym zobaczyć te loga, nazwy, witryny. No i gotowe materiały. Możemy tutaj?

– Pewnie! – odparł Stiepan z jeszcze większym ożywieniem. Wstał energicznie od stołu i gestem wskazał na drzwi do sąsiedniego pokoju. – Chodźcie, pokażę wam, jak to działa.

Pomieszczenie było niewielkie, z trudem pomieścili się w nim we trzech. Aleks zatrzymał się w progu. Stały tu biurko i mały fotelik, a pod ścianą, na metalo-

wej solidnej półce spoczywały trzy sporych rozmiarów monitory, pod którymi stały trzy komputery.

– Nasza tajna baza – oznajmił Stiepan, posyłając Rahmanowi wesołe spojrzenie. Usiadł na foteliku i wysunął spod blatu niewielką półkę, na której leżały klawiatura i komputerowa myszka na czarnej podkładce. Po chwili na ekranie środkowego monitora pojawiła się witryna internetowa ze stylowym logo, którego tło stanowiła ubrana w prześwitującą bieliznę dziewczynka, pięcioletnia, może ciut starsza. Leżała na plecach, pośród mieniących się złotem atlasowych poduszek. Dużymi brązowymi oczami spoglądała zalotnie w obiektyw, rozchylając usta umalowane ostrą czerwieńią.

– O, w mordę. – Borys potrząsnął głową z wrażenia.

– „LS Models”? – odczytał Rahman, pochylając się w stronę ekranu. – Models to rozumiem, ale...

– LS... – Stiepan zawiesił głos, po czym, odwracając się w stronę swoich gości, wyjaśnił: – Lolita Studio Models.

– Pięknie. – Rahman uśmiechnął się jakby do siebie. – Doskonała nazwa.

– Tak, doskonała – zgodził się Stiepan. – Przejdziemy do historii.

CZEŚĆ
TRZECIA

15 MAJA 2017 ROKU

Popijając poranną kawę, senator McCulen odczytywał zaległą pocztę mejlową. Wczoraj cały dzień zszedł mu na spotkaniu z wyborcami, więc trochę się tego nabiierało. Wiadomość opatrzona nagłówkiem „Red Umbrella” była czterdziesta szósta na długiej liście oczekujących na przeczytanie. Nadana o 6:54. Gdy ją otworzył i wczytał się w treść, o mało nie zakrztusił się kawą. Odstawił filiżankę na spodeczek i przeczytał jeszcze raz:

Szanowny Panie Senatorze,

Powszechnie znana jest Pańska dbałość o stabilny rozwój kraju i dobro wyborców. Udziela się Pan w wielu senackich komisjach, co jest zrozumiałe, przez wzgląd na Pana wykształcenie i doświadczenie. Jest Pan orędownikiem swobodnego przepływu kapitału, co znalazło wyraz w wielu wystąpieniach. Dlatego wielce niezrozumiałe jest, dlaczego w trakcie zamkniętego posiedzenia Senackiej Komisji ds. Finansów w dniu 7 kwietnia tego roku tak mocno optował Pan za udrożeniem procedury uniemożliwiającej transakcje, której listę dla przypomnienia załączamy do niniejszej wiadomości. Szacowne

gremium decydujące o tym, co wolno, a czego nie, w kwestiach obrotu środkami finansowymi przez podmioty zagraniczne mające stałą rezydenturę na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki, nie mogąc na drodze prawnej zablokować naszych działań – co zresztą jest dla nas w pełni zrozumiałe, bo działamy legalnie – wzburzyło w zamian falę dezinformacji, stawiając nasze przedsięwzięcia w niekorzystnym świetle, a tym samym blokując nam dalsze interesy. Nasza propozycja w tej materii zawiera się w następujących postulatach: całkowite usunięcie z mediów szkalujących nas informacji i powstrzymanie się od ich rozpowszechniania na przyszłość; niewpływanie zakulisowymi metodami na naszych obecnych i przyszłych kontrahentów i partnerów biznesowych. Dla zrozumienia powagi sytuacji, prosimy się zaznajomić z materiałami, które również dołączamy do niniejszej korespondencji. Są zaszyfrowane. Samodzielnie nie będzie Pan potrafił dokonać dekryptażu, dlatego prosimy, by materiał ów przestał Pan do lokalnej siedziby FBI. Proszę nie odpisywać na niniejszą wiadomość. Dajemy Panu siedem dni na zastosowanie się do naszych sugestii. Tą drogą przesyłamy też pozdrowienia dla Pańskiego brata, Williama

*McCulena, pełniącego znamienitą funkcję
w Waszej ambasadzie w Moskwie.*

*Z poważaniem
Red Umbrella³*

PS Nigdy nie dążyliśmy do tego, by nasze działania miały jakąkolwiek nazwę, ale ta, wymyślona przez Wasze komisyjne gremium, bardzo przypadła nam do gustu.

BOSTON, OKRĘGOWA SIEDZIBA FBI, 18 MAJA 2017 ROKU

PILNE!

Do wiadomości dyrektora Stanleya Clarka

Nota służbowa

Przesyłamy w trybie pilnym wszelkie materiały otrzymane od senatora Roberta McCulena. Ze względu na wagę sprawy sugerujemy niezwłoczne zajęcie się kwestiami zawartymi w załącznikach do korespondencji.

Dyrektor

Rosamunde Taylor

Przesłano 18 maja 2017 roku, godzina

12:34 czasu wschodniego

³ Ang. Czerwony Parasol.

WASZYNGTON, SIEDZIBA GŁÓWNA FBI, 18 MAJA 2017 ROKU

GABINET DYREKTORA DEPARTAMENTU DS. PRZESTĘPSTW
GOSPODARCZYCH STANLEYA CLARKA.

OBECNI NA SPOTKANIU: DYREKTOR STANLEY CLARK,
WICEDYREKTOR ARTHUR M. HOLDEN, DYREKTOR WYDZIA-
ŁU GOSPODARCZEGO CIA MALCOLM BRAVERMANN.

Holden i Clark w milczeniu czekali, aż Bravermann zapozna się z materiałami. Jego twarz z minuty na minutę stawała się bledsza. W końcu odwrócił wzrok od monitora.

– Ile kasy wpompowali w te przedsięwzięcia? – spytał zduszonym głosem.

– Od dwa tysiące czternastego roku ponad półtora miliarda dolarów. Wszystko jest w raporcie – opowiedział Clark.

– Nie mam czasu na wczytywanie się w raporty. – Bravermann się skrzywił. – Kto wymyślił to plucie jadem?

– Pomysł wyszedł od członków komisji. My to przyklepaliśmy. Nie było innego wyjścia – do rozmowy włączył się Holden. – Uznaliśmy, że to dobry pomysł, by dać im kopa. Na razie w miękkim pantoflu.

– Uhm... A oni dali wam kopa wojskowym butem. – Bravermann westchnął z rozdrażnieniem. – Przecież to cwaniaki kute na cztery nogi. Widzieliście, że są z dawnego KGB?

– Oczywiście.

– Dlaczego nikt z nami tego nie konsultował?

– To rozgrywka na naszym terenie. Wy macie inne prerogatywy, obowiązki i obszary działania, czyż nie? – rzucił oschle Clark.

– Już nie. To wychodzi poza obszar kraju, czyli to także nasza sprawa. Można rzec, że na obecną chwilę wyłącznie nasza. Wykryliście jakąkolwiek nielegalną działalność tej grupy?

– Nie.

– Wrogie przejęcia, oszustwa giełdowe?

– Nie.

– Pranie brudnych pieniędzy?

– Tego nie jesteśmy w stanie dowieść. Pieniądze przepływają przez legalne firmy umiejscowione na wszystkich kontynentach. Część z nich jest zarejestrowana w rajach podatkowych.

– Niezapłacone mandaty? – zakpił Bravermann.

– O to proszę pytać policję stanową – złośliwie odparował Clark.

– Czyli nie mając żadnych dowodów, obesraliście na rzadko tych facetów, bo paru ważniaków poczuło na karku oddech konkurencji? Bo paru senatorów chodzących na smyczach lobbystów naskarzyło po różnych komisjach, jak to się źle dzieje ich kumpłom wykładającym kasę na kampanie wyborcze? Mylę się?

– Myli się pan – odparł Holden stanowczo. – Ich celem jest przejęcie jak największych udziałów w firmach obsługujących transakcje płatnicze w internecie. Mają już zgromadzone spore pakiety akcji. Dzięki naszym zaku-

lisowym działaniom wiemy, że szykują się do przejęcia większościowych udziałów w czterech firmach o najsilniejszej pozycji na rynku. Dążą do przejęcia ich w całości. Mniejsze, a jest ich dwadzieścia jeden, już przejęli, płacąc bez targowania. Widzimy w tych działaniach poważne zagrożenie. To obroty sięgające wielu miliardów dolarów, z których podatki zasilają nasz budżet. Przejmują też lokalne banki. Chcą je skonsolidować, by stworzyć własny, będący zapleczem dla ich operacji. A wtedy pieniądze szerokim strumieniem popłyną na Cypr i Kajmany. Musimy temu zapobiec.

Bravermann pokręcił głową z niesmakiem.

– Rozumiem. Więc widząc, że macie do czynienia z wysokiej klasy specjalistami od finansów, jedyne, co zrobiliście, to czarny PR?

Clark i Holden milczeli.

– Namieszaliście jak dzieci w piaskownicy – skwitował Bravermann.

– To pana zdanie – odparł Clark. – Zrobiliśmy to, co trzeba było zrobić.

– Rezultaty mam przed nosem. – Bravermann popatrzył na ekran. – Przecież powszechnie wiadomo, że kopnięty pies będzie próbował gryźć. Rosjanie to urodzeni szachiści. Przewidują trzy ruchy do przodu. Tutaj wystarczył jeden ruch, żeby dać nam mata. – Rozłożył dłonie. – Dobrze, panowie, nie ma co drzeć szat. Moja firma to załatwi. Musimy zrobić wszystko, żeby zapobiec skandalowi, który mógłby mieć bardzo

poważne międzynarodowe reperkusje. Panów rola jest skończona. No, może jeszcze jedno: proszę o podjęcie niezwłocznych działań mających na celu usunięcie z mediów wszelkich materiałów w temacie... Czerwonego Parasola.

BOSTON, BIURO SENATORA ROBERTA MCCULENA,
19 MAJA 2017 ROKU

Ciężko usiadł w fotelu i z wyraźną niechęcią otworzył kolejną wiadomość sygnowaną nagłówkiem, na który reagował już alergicznie:

Szanowny Panie Senatorze,

Pragniemy podziękować za tak szybkie i korzystne dla obu stron potraktowanie tematu. Cieszymy się, że zrozumiał Pan istotę zagadnienia, a także to, iż w przyszłości możemy współpracować – ku obopólnej korzyści. Aby jednak proceduralnym sprawom stało się zadość, prosimy, by wszyscy członkowie komisji złożyli stosowne oświadczenie wyrażające żal i ubolewanie z powodu działań, jakie zostały podjęte przeciwko nam. Pismo powinno być sygnowane własnoręcznymi podpisami członków komisji. Wnosimy, by

zostały w nim wyszczególnione owe działania, a także podmioty, przeciw którym zostały zastosowane. Sugerujemy, by nad prawidłowością oświadczenia i jego odpowiednim wydzwzięciem prawnym czuwał dyrektor Malcolm Bravermann. Dla nas jego akceptacja jest gwarantem racjonalnego i sprawiedliwego zakończenia sporu. Oświadczenie prosimy przesać do Ambasady Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii w terminie nie dłuższym niż siedem dni. Odpowiednia osoba skontaktuje się z panem ambasadorem lub inną osobą uprawnioną z Waszej strony, w której gestii będzie doręczenie dokumentu. Gdy takowy otrzymamy – i jeśli będzie on zgodny z naszym widzeniem zamknięcia sprawy – wszelkie materiały, z którymi miał Pan możliwość się zapoznać, zostaną nieodwracalnie zniszczone, a osoby mające z nimi jakąkolwiek styczność zostaną zobowiązane do zachowania milczenia. W pełni to gwarantujemy.

*Z poważaniem
Red Umbrella*

– Skurwysyny... – tylko to jedno słowo przeszło przez gardło senatora Roberta McCulena.

WASZYNGTON, SIEDZIBA GŁÓWNA CIA,
19 MAJA 2017 ROKU

GABINET DYREKTORA WYDZIAŁU GOSPODARCZEGO
MALCOLMA BRAVERMANNA

– Skurwysyny... – Bravermann jeszcze przez chwilę wpatrywał się w wydruk, który dotarł do niego z centrum nasłuchu elektronicznego. Wezwał sekretarkę, a gdy ta pojawiła się w drzwiach gabinetu, polecił:

– Proszę natychmiast umówić mnie na spotkanie z przewodniczącym Komisji Finansów, Rosenfeldem. Pilne! I połączyć z biurem senatora McCulena. Też pilne.

Sekretarka kiwnęła głową i pośpiesznie odeszła.

Po kilku minutach rozdzwonił się telefon na szerokim dyrektorskim biurku. Bravermann podniósł słuchawkę.

– Tutaj McCulen. Życzył pan sobie...

– Tak, życzyłem sobie – przerwał niecierpliwie rozmówcy i od razu przeszedł do rzeczy: – Proszę o podporządkowanie się żądaniom zawartym w korespondencji, którą pan dziś otrzymał.

– Ale... jak...

– Niech pan się porozumie ze wszystkimi członkami komisji, by przygotować stosowną treść oświadczenia. – Bravermann nie pozwolił senatorowi dojść do

słowa. – Pan zaczął tę krucjatę, więc pan ją zakończy. Oświadczenie proszę niezwłocznie przesłać do mnie w celu jego akceptacji. Przekonanie przewodniczącego biorę na siebie. Nie sądzę, żeby w obecnej sytuacji stwarzał problemy.

– Rozumiem – odparł McCulen zrezygnowanym głosem.

– A tak na przyszłość proponowałbym, żeby w tak poważnych rozgrywkach stosować broń adekwatną do potencjalnej siły przeciwnika. Wtedy unikniemy porażek. Szczególnie tak głupich. Dziękuję za rozmowę. – Bravermann z trzaskiem odłożył słuchawkę i ponownie wezwał sekretarkę.

– Proszę mnie umówić z prezydentem. – Zerknął na zegarek. – To też pilne. Wyjątkowo pilne.

OKOLICE LONDYNU, 26 MAJA 2017 ROKU, GODZ. 9:30

Zjeżdżali się od rana. Czterema drogami, bo tyle ich wiodło do położonej na odludziu niewielkiej posiadłości w typowo angielskim stylu. Mniej więcej co kwadrans przez solidną, wysoką bramę przejeżdżał kolejny samochód, zatrzymując się przed wejściem do domu, na podjeździe wysypanym drobnym żwirem. Nie były to limuzyny w typie bentleya czy rolls-royce'a ani ekstrawaganckie porsche czy lamborghini, tylko zwyczajne, niezrzucające się w oczy samochody, jakich tysiące widzi się na ulicach miast świata. Ich pasażerowie swoim wyglą-

dem też nie odstawali od tego, co można ujrzyć na ulicach europejskich czy amerykańskich metropolii. Ośmiu starszych panów, na oko dobiegających siedemdziesiątki, ubranych w zwyczajne garnitury. Nic, co zachwyciłoby klasą, jak choćby stroje z Saville Road czy innych ekskluzywnych miejsc dla wybranych. Bo nie byli to ludzie, których twarze znane byłyby z pierwszych stron gazet czy telewizyjnych serwisów informacyjnych, tak jak jest to przyjęte dla przynależnych do świata finansjery lub polityki. Jednak mimo tych wszystkich pozorów byli związani z tym światem. I to bardzo ściśle.

Cenili dyskrecję. W miejscu, w którym postanowili się spotkać, nie było kamer ani uzbrojonych po zęby ochroniarzy. Ot, zwykły wiktoriański budynek z dobrze utrzymanym ogrodem. Ot, zwykłe towarzyskie spotkanie, może kolegów ze studiów, a może członków jakiegoś klubu, którzy zebrali się, by przy kieliszku i dobrym cygarze pogawędzić w swoim towarzystwie. W przestronnym holu o ścianach i suficie bogato zdobionych dębową boazerią witał gości postawny mężczyzna, mimo wieku trzymający się prosto, o oszczędnych ruchach, jakie nabywa się podczas długoletniej służby wojskowej. Każdego obdarzał nieco taksującym, byстрыm spojrzeniem wyrazistych, piwnych oczu i krótkim, energicznym skinieniem głowy z gęstwiną siwych włosów. Nazywał się Walentin Korżakow i od bez mała dwóch dekad był najważniejszą osobą dla przybyłych. Zaprowadził mężczyzn do biblioteki, któ-

rej ściany, poza wykuszem okiennym, wypełniały długie szeregi książek ustawionych w stylowych regałach sięgających sufitu. Mężczyźni nie zajęli miejsc w wygodnych kanapach i klubowych fotelach. Stojąc, rozmawiali z ożywieniem, choć przyciszonymi głosami. Palono cygara i papierosy, częstowano się trunkami z bogato zaopatrzonego barku. Wszystko wyglądało jak na spotkaniu miłośników krykieta omawiających najbliższe rozgrywki, z tym że rozmowy toczyły się w języku rosyjskim. W pewnym momencie gospodarz opuścił towarzystwo, by po niespełna pięciu minutach wrócić w towarzystwie młodego mężczyzny ubranego w nienagannie skrojony garnitur, pasujący barwą do jego ciemnych włosów. Miał ze sobą czarną skórzaną aktówkę. Skłonił się lekko obecnym w bibliotece, obrzucając ich skupionym spojrzeniem ciemnobłękitnych oczu, z którymi kolorystycznie korespondował jego krawat.

– Pan Allan Crowford, attaché handlowy Stanów Zjednoczonych w Zjednoczonym Królestwie – Korżakow, używając języka angielskiego, przedstawił nowo przybyłego i gestem wskazał mu jeden z foteli. Mężczyzna zajął miejsce i położył aktówkę na kolanach. Pozostali, poza Korżakowem, również zasiedli w fotelach.

– Dzień dobry panom – odezwał się Crowford z oksfordzkim akcentem. – Pragnę na wstępie oświadczyć, iż prośba panów została spełniona. – Otworzył

aktówkę i wyjął z niej dokument wpięty w przezroczystą teczkę. Wyciągnął dłoń z teczką w stronę Korzakowa.

– Dziękuję za przybycie. – Korzakow przyjął teczkę. – Pozwoli pan, że poproszę o chwilę cierpliwości.

Podszedł do stylowego wiktoriańskiego biurka, na którego blacie spoczywała tylko jedna kartka. Otworzył plastikową teczkę i przez chwilę uważnie porównywał oba dokumenty. W końcu pokiwał głową, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Panie Crowford, wszystko się zgadza, podpisy i treść. Pragnąłbym za pana pośrednictwem przekazać panom Rosenfeldowi i Bravermannowi podziękowania za przychyłność i zrozumienie.

Mężczyzna skwitował te słowa jedynie oszczędnym kiwnięciem głową. Zamknął aktówkę i wstał.

– W takim razie moja misja została zakończona – rzekł nieco oschłym tonem. – Pozwolą panowie, że ich opuszczę.

– Może jednak wypije pan z nami rozchodniaczka? – zasugerował Korzakow, wskazując na barek.

– Byłoby mi bardzo miło spędzić z panami trochę więcej czasu – mężczyzna zerknął na zegarek – jednak wzywają mnie obowiązki. Proszę mi wybaczyć.

– Oczywiście, to zrozumiałe.

Korzakow podszedł do Crowforda, po czym obaj opuścili bibliotekę.

Wrócił sam po kilku chwilach. Na jego twarzy znów gościł grymas zadowolenia. Potoczył wzrokiem po zgromadzonych, zatrzymując się na jednym z nich, kościstym mężczyźnie o przenikliwym spojrzeniu szaroniebieskich oczu.

– Pawle Konstantynowiczu – zaczął oficjalnym tonem, przechodząc na rosyjski. – Musimy dopełnić umowy.

– Z przyjemnością. – Konstantynowicz uśmiechnął się lodowato.

Korżakow kiwnął głową i zwrócił się do pozostałych:

– Czy ktoś jest przeciwko temu, żebyśmy definitywnie zamknęli temat?

Żaden z mężczyzn nie wniósł sprzeciwu.

Korżakow delikatnym ruchem zatarł dłonie.

– A więc mamy jednogłośnie decyzję. – Przeniósł spojrzenie na Konstantynowicza. – Rudolfie, kiedy możesz zacząć operację?

– Dzisiaj wieczorem.

– Wspaniale. W takim razie zapraszam wszystkich do sali konferencyjnej. Omówimy pozostałe kwestie.